

Księżę tułacz



Ks. Józef Poniatowski przed Pałacem prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu – Warszawa, fot. Stefan Sapeta.

Zdzisław Najder

Kiedy chcę przedstawić osobowość księcia Józefa Poniatowskiego, uświadamiam sobie, że nasuwające się określenia stanowią zbiór (nawet zbiorowisko) składników występujących zwykle osobno, albo nawet przeciwstawnych. Urodzony w Wiedniu z matki Austriaczki (ze starej czeskiej rodziny Kinských) zawsze tylko za Polaka się uważał i najlepiej czuł w Polsce, zwłaszcza w Warszawie – choć łatwiej mu było flirtować i pisać po francusku. Arystokrata z pochodzenia (babka Czartoryska), związał się z rewolucyjną Francją i Napoleonem; wśród jego marszałków był jedynym cudzoziemcem i jedynym wysoko urodzonym. Krążyły nie bezpodstawne legendy o

jego miłosnych podbojach, ale dla tego bawidamka naturalnym zachowaniem było włożyć lulkę w zęby, wziąć karabin z bagnetem od idącego obok żołnierza i poprowadzić batalion piechoty wprost na wroga. Uczestnik kawalerskich szaleństw, jak przejazd nago powozem przez Warszawę, był sumiennym i skutecznym organizatorem wojska, potrafił je tworzyć od podstaw. Z poglądami społecznymi się nie obnosił; nie poczuwał się w tej dziedzinie do roli przywódczej; ale że je miał, i to całkiem radykalne, świadczy jego gniewny list wodza cofającej się przed przygniatającą rosyjską przewagą armii do Stanisława Augusta z lipca 1792:

Gdybyś WKM na początku tej kampanii... był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, albobyśmy zginęli z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem.

Na uwolnienie chłopów z poddaństwa nie potrafił się zdobyć rząd Powstania Listopadowego czterdzieści lat później! Ojciec księcia Józefa był zadomowiony na cesarskim dworze Habsburgów, on sam związał się od wczesnej młodości z wojskiem, zwłaszcza kawalerią. Zajmował różne wysokie stanowiska i był jako dowódca uwielbiany przez podwładnych, ale zawsze go kusiła walka w pierwszej linii, zwykle z narażeniem życia, wielokrotnie przyplącana ranami.

Uwielbiał go, wychowywał z oddali i zaopatrywał (dobrowolnie, nigdy nie proszony) w fundusze stryj-król. Ma rację Szymon Askenazy twierdząc, że Stanisław August, człowiek o niewątpliwie znakomitym umyśle i smaku, podziwiał w bratanku cechy, których sam nie posiadał: przede wszystkim męstwo, to znaczy odwagę połączoną z wytrwałością oraz twarde poczucie honoru. I dawał mu z siebie to, co miał najlepszego. Zadbał z daleka - starając się o dobrych pedagogów i bardzo często pisując do ukochanego „Pepi” z dokładnymi instrukcjami - o solidne wykształcenie młodzieńca, marząc po cichu (ale pozwalając się tego domyśleć) o sukcesji na warszawskim tronie. Książę Józef był stryjowi wdzięczny, doceniał w pełni jego troskliwość, szanował osobę i majestat, starał się być jak najbardziej lojalny, nigdy nie posunął się do publicznego potępienia - ale od wiosny 1792 coraz częściej i coraz silniej protestował przeciw jego ustępliwości wobec Rosji i Konfederacji Targowickiej. W lipcu, na wieść o kapitulacji króla, pisał do księżnej Izabeli Czartoryskiej (po francusku, cytuję przekład Askenazego):

na wszystko byłem przygotowany – lecz nie na podobną nikczemność. ... Raczej należało bić się do śmierci, niż oddychać hańbą.

A kiedy sam Stanisław August potwierdził w liście swoje przystąpienie do Targowicy, odpisał:

Wielki Boże, czemu doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłbyś [...] Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon!

Zrobił to jednak w prywatnym liście; odmówił też, po wahaniach, udziału w niespełnionych planach porwania króla przez zwolenników reformy Rzeczypospolitej. Zachowywał się zawsze jednoznacznie: uważał, że Rosja jest dla Polski największym zagrożeniem i do śmierci się jej przeciwstawiał; Napoleon był więc jedynym naturalnym sprzymierzeńcem. Odmówił naleganiom stryja, by do niego przyjechał, do Grodna, a później do Petersburga. Wziął, choć zaskoczony za granicą, udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. Bliskie pokrewieństwo z upadającym królem spowodowało jednak, że lata 1793-1809 spędził oblewany pomyjami nieufności, kalumnii i podejrzeń. Fakt, że po śmierci Stanisława Augusta stał się jego jedynym spadkobiercą – w praktyce oznaczało to lata borykania się z wierzycielami i władzami zaborczymi – jeszcze głębiej go pograżał.

Wysoka pozycja społeczna księcia Józefa budziła zazdrość. Jego własna prostolinijność i wielkoduszność sprawiały, że był przez zawistnych niszczonej jak zwierzę innego gatunku. Podejrzenia i oskarżenia czyniono publicznie; o uczciwości księcia i jego niezłomnej wierności Ojczyźnie świadczą decyzje i deklaracje, które składał prywatnie – jak w przypadku listów do króla. Żadne zarzuty dwulicowości, udziału w intrygach, chęci własnej kariery, tchórzostwa i zdrady nie znajdują potwierdzenia w dokumentach. Podejrzewany był niemal do końca i wszyscy o tym wiedzieli. Kuszony był również do końca, potajemnie, wielokrotnie, przez wszystkie trzy stolice rozbiorcze, które chciały kupić jego poparcie obietnicami wysokich stanowisk. W 1813 robiły to zgodnie Berlin, Petersburg i Wiedeń; ale dopiero wiele lat po śmierci księcia Askenazy i inni historycy znaleźli dokumenty świadczące, że Poniatowski, dotrzymując sekretu, zawsze i jednoznacznie odmawiał. Prawie do ostatniej chwili nie był go całkiem pewien Napoleon (cóż, sądził go według siebie...)

- ale potem, już na św. Helenie, pierwszy przyznał księciu miarę nie tylko marszałkowską ale i królewską.



Księżę Józef Poniatowski w bitwie pod Lipskiem. Obraz przypisywany Januaremu Suchodolskiemu, fot. PAP.

Pisał liczne listy; wyłania się z nich, obraz człowieka raczej skromnego, bez cienia snobizmu, prawdomównego, świadomego własnych niedoskonałości, uczciwego, gotowego na wszelkie ofiary i wyrzeczenia w imię honoru osobistego i narodowego.

Użyłem słowa „honor”. Współcześni historycy polscy często traktują to pojęcie jak parzący kartofel, wyjęty z polnego ogniska. Przypisanie komuś, że się honorem kierował, wymaga usprawiedliwienia, jak gdyby zachowanie takie było nieco wstydliwą, sentymentalną czy egocentryczną słabością. Może się czasem wydawać, że tylko niemieccy członkowie spisku von Stauffenberga, którzy sami przyznawali się do zdrady stanu (i zawisali na rzeźnickich hakach), by osłonić innych, nie muszą się ze swojego poczucia honoru tłumaczyć. Tak więc i pułkownik-minister Józef Beck,

który podjął racjonalną decyzję odrzucenia obu totalitaryzmów, powinien był się powstrzymać od wypowiedzenia tego żenującego dla polityka słowa. Podobny kłopot z księciem Józefem. Zdarzyło mu się parę razy połączyć dwa porządki: wyboru drogi najlepszej, a zwykle po prostu najmniej dla Polaków historycznie szkodliwej – i drogi honoru, który z konsekwencjami praktycznymi się nie liczy. Połączyć odwagę Rolanda z mądrością równie przecież honorowego Oliwiera. Za każdym razem pociągało to za sobą osobiste i śmiertelne ryzyko; własnego bezpieczeństwa, o zaszczytach i pieniądzach nie mówiąc, nigdy pod uwagę nie brał. I zdobywał skarb w życiu zbiorowym bezcenny: zaufanie.

Księżę Józef nie był zazdrosny; na przykład, mimo wszystkich różnic między nimi, zawsze popierał w wojsku Kościuszkę. Był dobrym (choć skłonny do zaniedbań w kwatermistrzostwa) organizatorem militarnym. Kochał wojsko; jego pobłażliwość dla żołnierzy w ich poza-frontowym życiu irytowała nawet Francuzów. Chwalić się nie lubił; pisząc raporty z frontu wyróżniał towarzyszy broni, nigdy siebie. O jego upartej odwadze wiemy od świadków, bo sam o tym nigdy nie wspominał. Ani o tym, że potrafił podrywać żołnierzy do boju, przełamywać ich strach i niepewność w wolę walki i w ten sposób odwracać przebieg bitew. Jak to zwięźle ujął Fredro w swoim zapomnianym arcydziele, jakim jest *Trzy po trzy*:

Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: za mną dzieci! w piekło skoczono by za nim.

Był wybitnym dowódcą; jeśli błędził, to zwykle w niedocenianiu własnych możliwości taktycznych; był znacznie bardziej odważny, niż pewny siebie. Przed potwarzami nie umiał i zwykle nie chciał się bronić. Dopiero bitwa pod Raszynem, która tylko dzięki niemu nie zakończyła się bezładnym odwrotem, ukazała go narodowi w jednoznacznym świetle i politycznym i moralnym. Stryj-król już nie żył, a Księżę stanął do boju o Warszawę przeciwko dawnym austriackim towarzyszom broni. I tak wytrwał przez cztery lata, w nieustannej pracy i walce. Pod Lipskiem, w obliczu klęski Napoleona – który jedyny mógł pomóc w zachowaniu niepodległego wojska polskiego – powtarzał: *Il faut mourir en brave*, „trzeba umrzeć mężnie”.

W pamięci i wyobraźni zbiorowej narodu księżę Józef utrwalił się w dwu postaciach:

skaczącego do Elstery ułana i spiżowego wodza na koniu.

Zginął śmiertelnie raniony (zapewne przez cofających się Francuzów...) w błotnych rozlewiskach rzeki. Przez pokolenia dziesiątki tysięcy Polaków oglądało obrazy jego śmierci - świadome daremności tej bohaterskiej ofiary. Chwila była wzniosła, gest teatralny - i bezowocny. Wizerunki budziły podziw i szacunek - ale nie nadzieję; pewnie dlatego cenzura oleodruków nie tępiła. Z perspektywy lat można pomyśleć: nie wiele zaznał szczęścia w życiu, ale zginął w odpowiedniej chwili. Jakże marny byłby jego los, gdyby przeżył! Jeszcze jednego uczestnika emigracyjnych złudzeń, swarów i rozczarowań? Poddanego Austrii, Prus albo Rosji?

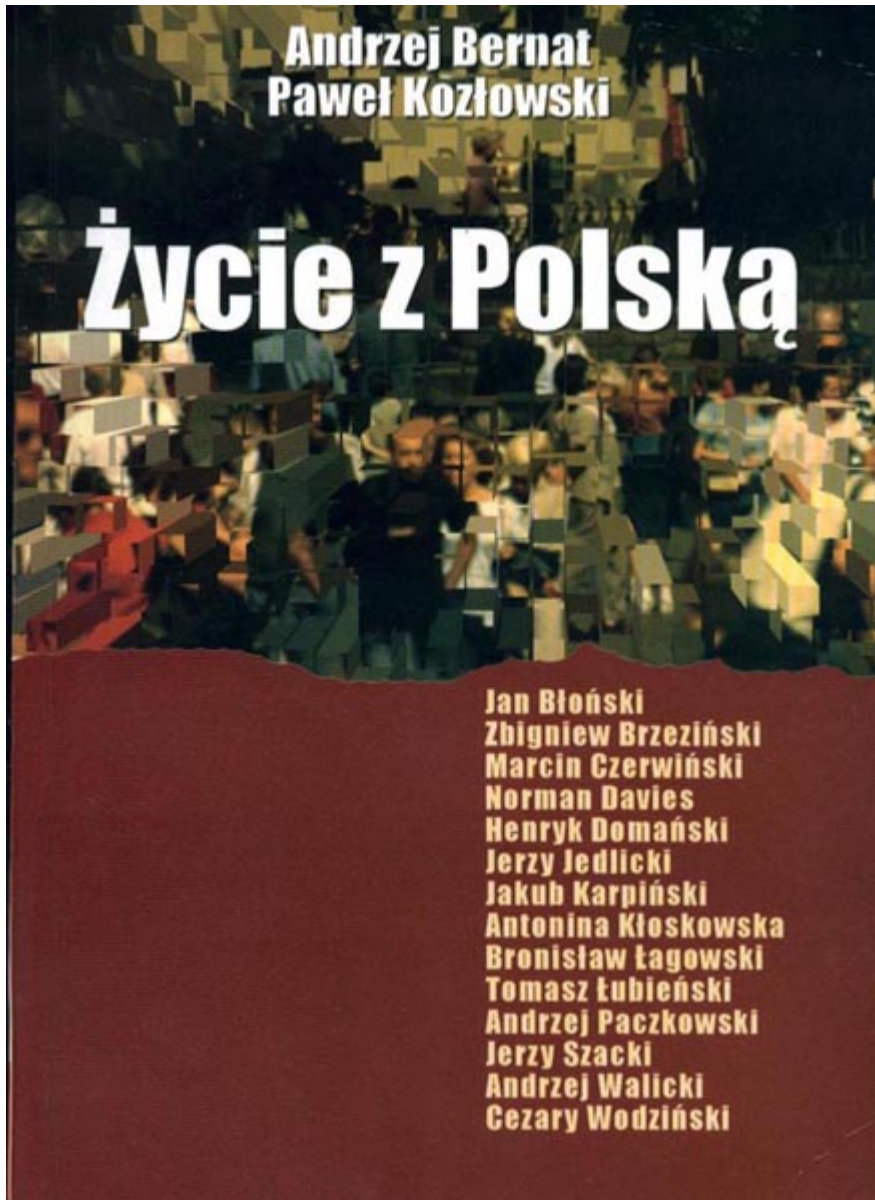
Ledwie przez Thornswaldena wykonany pomnik księcia stał się - zamiast niego! - tułaczem. Pierwszy odlew, przekazany generał gubernatorowi Paskiewiczowi, do 1898 przeleżał w magazynach twierdzy Modlin, a potem do 1921 ozdabiał ogrody Paskiewiczów pod Homlem. Rzeźbiarz przedstawił Poniatowskiego na wzór Marka Aureliusza z rzymskiego Kapitolu. Księżę ma twarz człowieka o skupionej uwadze, w prawej dłoni trzyma poziomo krótki miecz, w pozycji wyrażającej gotowość do służby. Spiżowy posąg postaci tak dramatycznie złożonej, której prawdziwą wielkość poznać można dopiero w zbliżeniu, pod lupą badaczy, jest całkiem jednolity, nie ma plam, pęknięć czy rysów. Jest jak jego wzór: księżę Józef, spoistym stopem, choć z tyłu składników złożonym.

Ponad wiek lat później, już w Niepodległej, mówił o nim Piłsudski (nieskory do pochwał):

...zostało wielkie imię, któremu obecnie pomniki stawiają, czyniąc go ojcem honoru i ojcem ojczyzny.

Oto wódz Polaków, którzy chcieli się wybić na niepodległość - na pewno najświetniejszy przez całe 123 lata porozbiorowe. Czy nie przed JEGO pomnikiem powinniśmy zaczynać pochody do Belwederu? Dwaj panowie JP są sobie godni; łączyło ich znacznie więcej, niż inicjały i wąsy.

Co z tą Polską?



Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Lubię czytać rozmowy z interesującymi ludźmi. Dają mi niemałe wyobrażenie o rozmówcy, jak dalece umie odpowiedzieć krótko, prosto, wprost, czy pokrętnie. Nie ma niedyskretnych pytań, są tylko niedyskretne odpowiedzi, mawiał Churchill. Ciekawi mnie nie tylko rozmówca, ale i zadający pytania. Zdarza się, że

rozmawiający przy okazji wywiadu pokazuje także własną osobę i poglądy, promuje siebie. Wolę, gdy pytania skupiają się na rozmówcy, pokazują jego pasję i opinie. W innym przypadku, jest to zapis dyskusji, i jest to zupełnie inna forma literacka niż wywiad, i inne oczekiwania. Wywiady, jak powiedział mi Radek Sikorski (który jako student na uniwersytecie w Oksfordzie dorabiał wywiadami do stypendium) mają dwa życia - pierwsze, gdy informują na bieżąco i drugie, po 10-20 latach, gdy stają się świadectwem epoki.

Nakładem ambitnego warszawskiego wydawnictwa Nowy Świat ukazała się książka Andrzeja Bernata i Pawła Kozłowskiego „Życie z Polską”. Zawiera czternaście wywiadów z wybitnymi ludźmi nauki. Przeprowadzający rozmowy, Andrzej Bernat i Paweł Kozłowski są tacy, jak lubię, z zamysłu jakby wyciszeni, skierowani w całości na swojego rozmówcę. Są świetnie przygotowani, pełni erudycji i jednocześnie taktowni. Jest to książka mądra i zmusza do refleksji, do zastanowienia się, zrewidowania czasami ustalonych już poglądów, do przemyśleń. Nic dziwnego, elita intelektualna, wielcy mędracy mówią nam o czasach im i nam współczesnych. Zastanawiają się... co z tą Polską?... Co było, co jest, i co będzie?

Rozmówcy oscylują pomiędzy przeszłością a teraźniejszością, zadają pytania, jaka może być przyszłość. CEZARY WODZIŃSKI, filozof, mówi, że rzeczywistość jest zawsze kłopotliwa. Zawsze nie schematyczna, zawsze wieloznaczna i trudna.

Jeżeli chodzi o przeszłość, to jak powiedział JAKUB KARPIŃSKI, socjolog i badacz najnowszej historii Polski (zmarły w 2003 roku):

...kiedy badamy przeszłość, pojawiają się kwestie jej oceny, ale ocena jest słowem wieloznacznym. (...) Opisując staramy się na ogół zebrać fakty, które pomagają w wyjaśnieniu, w zrozumieniu zdarzeń. (...) Opis pokazuje, że komuniści nadzorowali niemal wszelkie dziedziny życia, dbali o swoją władzę i o interesy ZSRR, zmierzali do celów związanych ze swoją ideologią. (...) Zawsze można argumentować, że ktoś inny byłby gorszy. I zwykle można kogoś takiego wskazać.

Jeżeli chodzi o lata komunizmu, Karpiński zwrócił uwagę, że nazewnictwo w tych czasach było „patriotyczno-ojczyźniane, nie komunistyczne”. I tak, w Moskwie działał Związek Patriotów Polskich, władza nazywała siebie narodową, powstał Polski

Komitet Wyzwolenia Narodowego, itd. Karpiński stwierdza, że:

członek partii otrzymywał jakby polisę ubezpieczeniową, płacąc za nią gotowością do posłuszeństwa i legitymowania władzy, ofiarowywał podległość i aprobatę, a w zamian otrzymywał większe możliwości kariery i w pewnym stopniu był chroniony.

Badacz podkreśla jednak, że były różne dziedziny, i należały do nich np. w pewnym okresie nauki społeczne, w których człowiek bezpartyjny mógł zrobić więcej, bo trudniej było na niego wywierać naciski. Wielu bezpartyjnych nie podporządkowując się ideologii, osiągało wartościowe rezultaty. Jakość ich pracy osłabiała dotkliwe cechy ustroju. Dobra robota w nauce, oświacie, kulturze była antykomunistyczna.

Podobnie zauważył JAN BŁOŃSKI, mówiąc że w kinie Wajda ział wręcz antykomunizmem i uchodziło mu to na sucho: działał przez pejzaż, ludzkie twarze, stereotypy zachowań... A jak cenzura miała skonfiskować pejzaż? Także to, co robił – równoległe do Swinarskiego – w teatrze, miało wyraźny rezonans wolnościowy.

Jan Błoński, krytyk, historyk literatury, eseista, tłumacz, stwierdził także, że po zmianach odbudowa literatury okazała się znacznie powolniejsza i trudniejsza, niż sobie to wyobrażano. Wcześniej w gruncie rzeczy ciągłość rozwoju literackiego utrzymywali (z konieczności niedoskonale) emigranci. Nie tylko Gombrowicz, Miłosz, czyli najwięksi. I nie tylko ci, którzy się z Polską fizycznie nie rozstawali; także ci, którzy do niej wracali, jak Kuncewiczowa, Wańkowicz.

Karpiński wypowiedział się ciekawie na temat obecnych sporów publicznych, które są tak liczne i jakby oburzają wielu:

W społeczeństwach demokratycznych spory traktuje się jako naturalne. U nas tę konieczność nie zawsze się rozumie, w czym miały udział środki masowego przekazu, piętnujące kłótnie i niepotrzebną wielość partii politycznych. Niedostateczne okazuje się zrozumienie dla pluralizmu.

Jeżeli chodzi o współczesność, JERZY JEDLICKI, historyk idei uważa, że demokracja jest ze swej natury systemem bardziej niż inne przejrzystym i ujawnia wszystkie nieprawości. Afery, korupcja, agresywność to są niestety normalne zjawiska

towarzyszące początkom ustroju demokratycznego. Trzeba długiego czasu, by bardziej cywilizowane normy służby publicznej i partyjnej rywalizacji osadziły się głęboko w ludzkiej świadomości i zachowaniu.

Cały wywiad z Jerzym Jedlickim jest niezwykle interesujący. Zauważył on, że Polska od kilku wieków znajduje się w sytuacji peryferyjnej i sądzi, że przez długi czas w niej pozostanie.

Sytuację peryferyjną - mówi Jedlicki - cechuje to, że od jakiegoś ośrodka cywilizacji więcej się przyjmuje, aniżeli oddaje. Chodzi o wzorce kultury, religie, pojęcia polityczne, technologie, obyczaje, style sztuki, literatury, budownictwa. Cechą sytuacji peryferyjnej jest również słabe wzajemne oddziaływanie między poszczególnymi peryferiami. One cały czas orientują się na centrum.

Historyk zwraca uwagę, że ogólnie nie uważa się, iż może być coś wartościowego i wartego uwagi u sąsiadów, Polak szuka w księgarni rzeczy tłumaczonych z nauki i literatury zachodniej albo polskich. Podobnie jest ze stosunkiem sąsiadów do naszej kultury. Polski bilans wymiany z Zachodem był i jest stale ujemny. Najbliższy wyrównania był w końcu piętnastego wieku. Jedną rzecz się zmieniła - to, że Polska jest już peryferią nie tyle Europy, co Ameryki. Jedlicki uważa, że gdy w Europie zacznie się wzmacniać reakcja na hegemonię amerykańskiej kultury i zamerykanizowane masowej kultury Zachodu, to Polska może się znaleźć w głównym nurcie oporu, a nie na poboczu. Jednocześnie stwierdza:

Zachodnia cywilizacja stworzyła rzeczy wspaniałe, na których trzeba i warto się wzorować, dotyczy to choćby instytucji naukowych, inwencji wynalazczej, idei demokracji. Ale niepokój, jeśli nie przerażenie, wywołuje nasza skłonność do zupełnie bezmyślnego zapożyczania byle czego. To małpowanie dotyczy nawet architektury: to, co się w tej dziedzinie dzieje obecnie w Warszawie budzi zgrozę.

Jedlicki uważa, że mamy kilkunastu wybitnych intelektualistów, którzy mają coś ważnego do powiedzenia o współczesności, o tym, co dzieje się w tej chwili z cywilizacją, ze światem (wymienił Miłosza, Lema, Kapuścińskiego, Kołakowskiego i wspominał także ogólnie bez nazwisk kilku osób z kręgu katolickiego). Filozof z

sympatia śledzi postawę Andrzeja Wajdy, aby ratować naszą polską kulturę.

Jedlicki stwierdza, że Polacy stracili szansę rozwoju gospodarczego, oświaty i instytucji publicznych, bo stracili wiek dziewiętnasty przez tragiczne skutki nieobliczalnych – jak mówi – powstań narodowych. Jak mówi, była to polityka samobójcza, narzucana przez garstkę szlachetnych, ale niezbyt odpowiedzialnych ludzi i konsekwencje dla polityki, gospodarki i kultury narodowej były katastrofalne. Zmarnowano całe pokolenia młodzieży, bowiem źle gospodarowaliśmy polską inteligencją. Po każdym z powstań kraj cofał się kilkadziesiąt lat. Zaborcy w odwecie zamykali szkoły, uniwersytety. Wywozili biblioteki i archiwa.

Co do peryferyjności, to pojęcie to nie oznacza – mówi Jedlicki – jakiegoś zasklepienia czy parafiańszczyzny, określa jedynie kierunek oddziaływań. Kulturze peryferyjnej brakuje siły ekspansji, ale nie oznacza, że jej wytwory i przemyslenia nie mogą mieć wartości uniwersalnych. Polska literatura i wizja historii są wciąż, z nielicznymi wyjątkami, dostrzegane w znikomym stopniu. *Czy są za mało odważne, za bardzo w sobie zamknięte, czy po prostu lekceważone – nie umiem odpowiedzieć* – konkluduje Jedlicki.

HENRYK DOMAŃSKI, socjolog, badacz struktury społecznej mówi, że największe oparcie dla demokracji stanowi u nas inteligencja. Jest nośnikiem takich wartości, jak tolerancja obyczajowa, brak przesądów.

NORMAN DAVIES – historyk i pisarz brytyjski zwrócił uwagę, że w Polsce cechą wyraźnie zauważalną jest świadomość własnej kultury. Mówi, że:

Polacy na punkcie kategorii narodowej mają obsesję. Z czasem staną się ważne inne problemy (...) Musimy zdać sobie sprawę, że żyjemy w świecie, w którym konsekwencje naszego zachowania są o wiele większe niż kiedyś. Jesteśmy zaś tymi samymi grzesznikami jak zawsze. Jednak w cywilizacji broni nuklearnej każda mała głupota może prowadzić dosłownie do końca świata. Nasza odpowiedzialność dzisiaj jest o wiele większa, gdyż skutki są większe.

Davies mówi, że będąc Brytyjczykiem, inaczej musi pisać o polskiej historii dla czytelników z Ameryki Północnej, gdzie nawet wybitni intelektualiści z trudem by

przytoczyli trzy fakty z przeszłości Polski, inaczej dla czytelników zachodnioeuropejskich, i jeszcze inaczej dla Polaków.

Polska jest mikrokosmosem prądów ogólnoeuropejskich – przypomina wybitny historyk. Wszystkie prądy, czy to cywilizacyjne, czy też polityczne lub wojskowe, przez jej tereny przebiegały i zostawiały po sobie bogate ślady. Renesans i Oświecenie, romantyzm, prądy kulturalne XX wieku, chrześcijaństwo łacińskie i prawosławne, judaizm i nawet islam, konflikty narodowościowe, dwudziestowieczny totalitaryzm, wojna i zagłada – wszystko się tutaj zdarzyło.

Przywołuje lata sześćdziesiąte, gdy jako doktorant Uniwersytetu Jagiellońskiego był świadkiem różnych mądrych dyskusji, jako przybysz z zagranicy zadawał wciąż pytanie: – Co z tą Polską będzie? Waław Felczak odpowiedział mu – Proszę pana, przetrwamy, Polacy umieją przetrwać.

Dzisiaj mamy potwierdzenie owej wiary wspaniałych Polaków. Polska przetrwała i jest wolna – konkluduje historyk.

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI, wybitny politolog, socjolog zauważył, że:

każdy europejski naród jest mocno przeświadczony o swojej szczególnej, wyjątkowej moralnej i historycznej wyższości i czuje się urażony, kiedy inni nie wykazują należytego uznania. W ciągu dwudziestego wieku Europa popełniła przewlekłe samobójstwo. Ten historyczny fakt nie został jeszcze przetrawiony, a szczególnie świadomość tego, że to nie-Europejczycy rozwiązują europejskie dylematy. Wynikająca stąd ambiwalencja europejskiej postawy wobec Ameryki jest bardzo widoczna: z jednej strony poczucie zależności i oparcia, ale jednocześnie z drugiej uraza i złość.

Zabawnie odpowiedział na pytanie:

– Czy kraje takie jak Polska czy Czechy, które były ofiarami totalitaryzmów i które pielęgnowały w swojej kulturze idee wolności, mogą wnieść w sposób partnerski w jednoczącą się Europę swoje ideały i owego ducha optymizmu? – Myślę, że już w samym pytaniu widoczny jest duży wpływ samochwalczych mitów.

TOMASZ ŁUBIEŃSKI pisarz, dramaturg, tłumacz mówi, że:

wybrany przez nas kierunek „na Zachód” niekoniecznie musi się sprawdzać w Europie. Może być bliższy modelowi amerykańskiemu. Niestety, jeżeli chodzi o stosunek do pracy, nadal dzielą nas oceany.

Mało jest u nas ruchu umysłowego wokół spraw ważnych – stwierdza pisarz – trochę zapominamy, że inni inaczej nas widzą niż my siebie. To trudna rzecz dla takiego średniego kraju jak Polska, z jednej strony utrzymać się w ramach pewnej skromności, a z drugiej zaznaczyć swoją obecność. Występują postawy albo agresywno-paternalistyczne w odniesieniu do sąsiadów, albo narzekające – Zachód nas zdradził, zawiódł, rozczarował. itd . Obie są nietwórcze i niebezpieczne. Według uproszczonej psychologii Zachodu jeżeli komuś się źle powodzi, to znaczy, że na to zasłużył. Tego nie rozumiemy, ciągle się skarżąc.

Jak wiadomo, mówi Łubieński, są narody w dużo gorszej od naszej sytuacji, również w Europie. Straciliśmy ten wątpliwy przywilej bycia najbardziej nieszczęśliwymi. W Polsce nie ma dyskusji ideowych. Jeżeli już zaistnieje jakaś polemika, to albo traktowana jest jako osobista wycieczka, albo jako atak na konkretną partię polityczną. Kategorie uczciwości intelektualnej funkcjonują bardzo słabo.

Nie spotkałem się w ciągu ostatniego dziesięciolecia z przypadkiem- stwierdza dramaturg – żeby ktoś przyznał rację przeciwnikowi politycznemu. Zawsze atakiem odpowiada się na atak.

Łubieński obawia się, że stracimy naszą szansę i staniemy się tylko takim gorszym Zachodem o niższym standardzie, który nikogo nie będzie interesował. Pewna ilość obywateli cieszy się z wolności i z niej korzysta. Jednak dla znacznej części społeczeństwa korzyści z niej płynące nie są wcale oczywiste. Ci ludzie dotkliwie odczuwają brak bezpieczeństwa socjalnego i publicznego, nie widzą przed sobą żadnych perspektyw.

BRONISŁAW ŁAGOWSKI, filozof, badacz myśli politycznej zauważa, że polskie społeczeństwo jest ubogie w instytucje, nie przestrzega zasad gry i nie szanuje uniwersalnych zasad, które niby przyjmuje. Podobnie jak Łubieński, stwierdza, że

Polska jest krajem *normalnym trochę skorumpowanym i byle jako rządzonym państwem*, i że *chyba taka jest polska norma*.

Okazuje się - mówi filozof - że wolność polityczną zaprowadzić jest stosunkowo łatwo, ale jak zapewnić sobie wolność cywilną. Od chuligana, łobuza, bandyty, złodzieja, oszusta?

Dalej ciągnie swoja myśl:

Z ideą postępu wiązało się przekonanie o możliwościach powszechnego szczęścia, takie naiwne przekonanie. Nie w tym rzecz, że taki stan jest niemożliwy, lecz że w tym przekonaniu tkwi błąd moralny. Powszechne szczęście doprowadziłoby do degradacji moralnej. Szczęśliwi mogą być tylko niektórzy i tylko w pewnych chwilach. Wszyscy mogą być tylko nasyceni. Trudno uznać nasycenie za wielki cel ludzkości (...). Społeczeństwo demokratyczne dąży do zniesienia wszelkich różnic i nie toleruje przywileju. Tymczasem talent jest olbrzymim, wrodzonym przywilejem. Estetyka społeczeństwa egalitarnego ewoluuje w kierunku pomniejszenia roli talentu, tak by każdy mógł ubiegać się o uznanie jako twórca. I oto mamy kulturę tworzoną przez ludzi, którzy brak talentu rekompensują sobie krzykliwą ekspresyjnością, bluźnierstwem, drażnieniem wrodzonego gustu i tym podobnymi środkami.

Filozof krytykuje działalność naukowców w Polsce, która podobnie jak w innych krajach o zapożyczonych kulturze, polega nie na bezinteresownych badaniach, lecz na spełnianiu warunków awansu. Te warunki określają ci, którzy już awansowali. Łagowski uważa, że bezsprzecznie pozytywnym zjawiskiem są uczelnie prywatne.

Na pytanie: - W jakim ustroju pan by się najlepiej czuł? - odpowiada:

-W takim, gdzie istniałaby klasa wyższa, która w celu zapewnienia swojego bezpieczeństwa i przywilejów utrzymywałaby sprawy aparat strzegący porządku publicznego.

ANTONINA KŁOSKOWSKA, socjolog, powiedziała swoim rozmówcom, że żyjąc w świecie kultury globalnej człowiek może czuć przywiązanie do tej jednej, własnej,

najpełniej i najwszechstronniej znanej kultury, z której wyszedł. Takie pełne, różnostronne i emocjonalnie zabarwione przyswojenie kultury nazwała *narodową walencją kulturową*.

Przyswojenie przynajmniej częściowe kultury innej niż własna, które pani socjolog nazywa biwalencją i poliwalencją, może rozbierać skrajny nacjonalizm. Ono oczywiście nie usunie konfliktów zrodzonych ze sprzeczności interesów, ale może przeciwdziałać totalizacji nienawiści. Jako motywacja do poznawania kultury innych narodów wydaje się to bardzo ważne.

Ludzie mogą się czuć członkami więcej niż jednego narodu. Profesor Kłoskowska nie spotkała takich przypadków, żeby odnosiło się to do więcej niż dwóch narodów. Jak przypomina, w przeszłości Polska bardzo dużo zyskiwała przez to, że była różnorodna narodowościowo. Polacy wiele czerpali od Ukrainy i w ogóle ze Wschodu. Czym byłby bez tego na przykład polski romantyzm? Inna sprawa, że to Polacy głównie korzystali. Przejmowało się pewne elementy folkloru i twórczości, ale także wyciągało zdolne jednostki, całe kategorie stanowe, które się polonizowały. Co teraz Ukraińcy, Litwini, Białorusini mają Polakom za złe. Profesor przypomina także duży wkład Żydów i Niemców w rozwój naszej kultury.

Tak przyjemnie było być Polakiem w 1989 roku, konkluduje Kłoskowska. Natomiast teraz nastąpiło znaczne rozczarowanie, gdyż większość spodziewała się pięknej, przyjemnej i łatwej przyszłości, rzeczywistość zaś okazała się trudniejsza, co na pewno osłabiło poczucie dumy narodowej.

Jest też faktem, że elementy narodowej kultury po części rozmywają się w ogromnym napływie popularnej kultury masowej. Kiedyś Antonina Kłoskowska jej broniła, bo odcięcie od kultury masowej było wtedy odcięciem od Zachodu i instrumentem narzucania niewoli. Ale już w trzecim wydaniu swojej książki o kulturze masowej zaczęła przed nią ostrzegać. Kultura masowa jest atrakcyjna, łatwa, pełna blichtru, sensacyjna i seksowna i zagraża nawet naszej własnej popularnej produkcji kulturowej i jej odbiorowi wśród naszych kręgów.

Zapytana, czym dla niej jest polskość, pani profesor odpowiedziała:

Polskość jest dla mnie zespołem wartości. Każda polska wieś, miasta takie jak

Kraków czy Warszawa są dla mnie esencja polskości. Odnosi się to również do języka, w którym mogę się swobodnie porozumieć i wyrażać co myślę. Nie pragnę do końca określać, co jest dla mnie polskością. Dlatego, że wartości innych kultur są również bardzo mi bliskie. Polskość jest ważna, ale nie można być w niej zamkniętym. Czułabym się niesłychanie zubożona bez tamtych wartości. Na tym polega poliwalencja (...). Po zrobieniu doktoratu moi koledzy i ja recytowaliśmy fragment Fausta, kiedy on mówi, że nauka prowadzi do rozczarowań i zawodu, że jest nicością, a jednocześnie jest czymś, czego się wiecznie szuka.

ANDRZEJ WALICKI filozof i historyk idei, swoim rozmówcom zwraca uwagę na inny temat. Przypomina, że był rusycystą, więc perspektywa rosyjska niesłychanie mocno w jego pracach tkwi. Uważa, że co najwyżej tylko największe ekscesy stalinizmu w Polsce mogą być porównywalne z tym zniewoleniem i unikatowym okropieństwem ustroju totalitarnego, z jakim ludzie sowieccy mieli do czynienia znacznie dłużej. Dlatego obecnie Walicki jest mniej wyczulony na przewiny i usprawiedliwienia tych czy innych osób, które działały w sytuacji, kiedy to zło było znacznie bardziej zrelatywizowane.

Można się śmiać – mówi uczony – ze wszystkich, którzy twierdzili, że wstąpiwszy do partii spełniają rolę Wallenrodów i zbawiają Polskę. Ale nie można przesadzać w przeciwnym kierunku, nie można zakładać skrajności. Że ktoś, kto wstąpił do partii w czasach Gierka, chciał w Polsce budować komunizm.

Najlepszych przedstawicieli polskiej inteligencji Walicki ocenia bardzo wysoko i z przykrością, jak mówi, stwierdza, że będąc w Ameryce nie napotkał tam takich ludzi. Intelktualiści amerykańscy są tak zajęci swoimi karierami i sprawami ściśle zawodowymi, że znacznie ustępują szerokością sądu, taką wszechstronnością być może XIX wieczną.

ANDRZEJ PACZKOWSKI, historyk, badacz dziejów PRL, zauważa, że trudno wyłączyć sferę doświadczeń osobistych w badaniach dziejów najnowszych. Sfera wolności, która po 1989 roku została dana, albo odzyskana, i o której się przedtem marzyło, albo o nią walczyło, o której się nie myślało, ale jak przyszła, to się z niej korzysta, dotyczy bardzo wielu ludzi. To, co się stało, jest dla niego triumfem. Jest

tym, o co mu chodziło.

JERZY SZACKI, historyk idei podkreśla, że podstawowym postulatem przyzwoitych liberałów jest, żeby państwo było ograniczone; żeby robiło tylko to, co jest absolutnie niezbędne, nie starając się regulować całego życia społecznego. W krajach podzielonych religijnie, etnicznie, politycznie, itd., jak np. Stany Zjednoczone, przyjęcie takiego punktu widzenia było całkowicie naturalne. Są różni ludzie, są rozmaite filozofie i recepty na życie, i nikt nie ma podstaw, aby twierdzić, że tylko on ma racje. Trzeba zapewnić wszystkim obywatelom maksimum praw i możliwość pokojowego współżycia. Państwo musi być neutralne, gdyż inaczej stałoby się źródłem konfliktów i niepokoju.

Ale jest zupełnie oczywiste, że o ile państwo może i powinno być neutralne, o tyle żaden człowiek z osobna, także liberał, neutralny nie jest. Pojedynczemu liberałowi zupełnie nie jest wszystko jedno, która religia jest słuszna, a która nie, i czy w ogóle religia jest słuszna, czy też jej odrzucenie. Ale sądzi on, że są inne tereny poza państwem, gdzie poszczególne systemy wartości mogą zdobywać poparcie społeczne. I właśnie to w skrócie określa jako społeczeństwo obywatelskie.

Profesor Szacki mówi, że z biegiem lat zrobił się bardzo proamerykański. Wprowadził jednak zastrzeżenie, że niekoniecznie oznacza to uznanie dla amerykańskiego liberalizmu, gdyż w Stanach to słowo oznacza coś innego. Dużo rzeczy sympatycznych znalazłoby się w Anglii, w Szwajcarii. W Niemczech, mniej już we Francji, zauważa historyk.

Jedną z głównych czynności intelektualistów - stwierdza Szacki, była zawsze samokrytyka i wykazywanie, że nie stoją na wysokości zadania, że są oderwani od tego, czym żyje naród, itd. Intelektualiści zawsze zajmowali się analizą swojej sytuacji pod tym kątem i wzajemnie się oskarżali o to, że swoich czasów i swojego społeczeństwa nie rozumieją.

Nie mam zbyt wygórowanych wyobrażeń o możliwościach intelektualistów i ich misji w społeczeństwie. To nawet bardzo niedobrze, jeśli wyobrażają sobie oni, że to właśnie do nich należy wskazywanie drogi. Oni są od komentowania - konkluduje profesor Szacki.

Polecam książkę Andrzeja Bernata i Pawła Kozłowskiego „Życie z Polską” wszystkim myślącym z troską o kraju. Zostawi wrażenie, pobudzi twórczo i wzbogaci o cenne przemyślenia.

Andrzej Bernat, Paweł Kozłowski „Życie z Polską”, Wyd.Nowy Świat, Warszawa 2004 r., 214 stron, zdjęcia.

Tekst ukazał się w „Przeglądzie Polskim” - dodatku „Nowego Dziennika” (Nowy Jork, 9 września 2005), „Teraz” (Filadelfia, maj 2005), „Liście oceanicznym” - dodatku „Gazety” (Toronto, maj 2005). Mimo upływu lat wciąż jest aktualny.

Poza gniazdem. Polskie emigrantki w Kanadzie.



Kaszuby, Ontario, Kanada.

Anna Maria Jarochowska

Kanadyjski kraj pionierów, do którego płynęła większość polskich żon i narzeczonych w początkach XX wieku był przede wszystkim krajem mężczyzn. To oni stanowili dominującą większość mieszkańców nowo zakładanych miast i miasteczek, oni w pojedynkę lub grupami przybywali z Kanady wschodniej i ze Stanów Zjednoczonych, aby robić biznes, zakładać przedsiębiorstwa, organizować administrację miejską, otwierać nowe tereny pod osadnictwo, pracować w kopalniach, w transporcie, w obozach drwali... Oni nadawali styl pracy, ogólną atmosferę podniecenia możliwościami zrobienia dużych pieniędzy w krótkim czasie, oni otwierali nowe tereny i budowali koleje. Oni też nadawali charakter rozrywce istniejącej wówczas w Kanadzie zachodniej. Dla nich powstawały *saloons, pubs i bars* jak grzyby po deszczu, gdzie wyszynk legalnego i nielegalnego alkoholu i burdy pijackie należały do zwykłych widoków, a spotkanie pijanych na ulicach nie było rzadkością. Poza pracą pito często i dużo i to było najczęstszą rozrywką po miastach i osiedlach. W *saloons i barach* było także sporo kobiet lekkiego prowadzenia, kwitła specyficzna prostytutka, typowa dla pionierskich obszarów Ameryki północnej. Sam fakt, że było znacznie więcej mężczyzn niż kobiet i że tysiące samotnych młodych mężczyzn nieustannie wędrowało po kraju, w którym ciężka praca fizyczna przeplatała się z okresami wolnego czasu, świąt, lub bezrobocia sprzyjał rozwojowi prostytutki. Kanada na zachód od Winnipegu długo była jeszcze tak dzika i pionierska, że wielu mężczyzn miesiącami, a nawet zdarzało się - latami, nie widziało białych kobiet w miejskim stroju. Nagłe pojawienie się sylwetki kobiecej w obowiązkowym kapeluszu i w rękawiczkach wzbudzało więc sensację.



Przybywające imigrantki nie liczyły się. Nie tylko były biedne i natychmiast zabierane przez mężów do przygotowanych domów, niezależnie od tego, czy to były istotnie domy czy też ziemianki. Nie znały języka, były niepewne siebie, dziwacznie, nie po kanadyjsku ubrane i nie znały lokalnego *savoir vivre*. (...) Samotni imigranci zabiegali o żony w rozmaity sposób. Najczęściej pisali listy do dziewcząt znanych im jeszcze w Starym Kraju proponując sponsorowanie ich przyjazdów i małżeństwo. Tak powstało znane w ówczesnej Kanadzie i Europie określenie *mail order bride* (narzeczona z przesyłki pocztowej), która często mało, a nawet wcale nie znając swego narzeczonego natychmiast po przybyciu do Kanady brała z nim ślub i wyruszała na jego „farmę”. Ile było nieporozumień, ile niedobrych małżeństw i zawiedzionych nadziei wynikających z tej formuły małżeńskiej, nikt nie dociekał. Podobnie jak nikt nie pytał kobiety, świeżo przybyłej z polskiej wsi, stojącej przed *dugout* (ziemianką), która odtąd miała być jej domem;

czy w tym prymitywie poradzi sobie z życiem i wychowaniem dzieci. Wiadomo jednak, że niektóre kobiety nigdy nie potrafiły się otrząsnąć z pierwszego szoku i razem z mężem pracować nad wspólną przyszłością. Związane z obcym sobie mężczyzną, w obcym i przerażająco prymitywnym buszu, miesiącami zupełnie samotne w swoich lepiankach czasami uciekały same nie wiedząc dokąd, czasami po prostu marły z głodu i wycieńczenia. (...) Przedmiotem łowów małżeńskich była każda dziewczyna, które pokazała się w preriach. Wielu mężczyzn uważało, że córki osadników preriowych były lepszym materiałem na żony, ponieważ znały już pionierskie *dugouts, sodhouses, shacks, shanties i bunkers* i potrafiły sobie radzić z niejedną robotą nieznaną, a nawet niewyobrażalną w Polsce. (...) Pierre Berton cytuje jako przykład rozmowę między zamożną i wykształconą Angielką Ellą a Constance Sykes, wystarczająco ekscentryczną, aby z ciekawości próbować przekonać się jak się naprawdę żyje kobietom na preriach kanadyjskich. Już podczas podróży statkiem do Kanady Ella Sykes dowiadywała się o trudnościach ich życia. Jedna z bogatych farmerek powracających z wizyty w Starym Kraju, opowiedziała jej swoją historię:

Pamiętam, że pytałam go o kolor tapety w naszej sypialni, ponieważ chciałam dobrać odpowiedni zestaw w łazience. On to pytanie wtedy zbył, ale nigdy nie zapomnę moich uczuć, kiedy zobaczyłam, że nasz dom to po prostu jednoizbowa drewniana chałupa kurtyną podzielona na dwie części i oczywiście bez żadnej tapety. To był straszny szok dla mnie. Ale teraz, kiedy jesteście bogaci, twoje życie jest znacznie łatwiejsze – zapytała panna Sykes. Odpowiedź zdumiała ją. – Miałam mniej roboty kiedy zaczynałam moje małżeńskie życie jako biedna kobieta aniżeli mam teraz. Mówi się, że pasją farmera jest ciągle dokupowanie ziemi. Oni są temu gotowi wszystko poświęcić i dom i jego komfort nic dla nich nie znaczą. Mój mąż kupuje każdy akr, który może dostać i oczywiście zatrudnia najętych robotników do pracy na roli. A im więcej jest robotników, tym więcej roboty ma kobieta...



Maria i Antoni Andrzejewscy spacerują na ulicy w Edmonton (5 maj 1950 r.), fot. Kanadyjsko-Polskie Towarzystwo Historyczne, Edmonton, Kanada.



Czesława Kudela (w środku) z matką i ojcem. Z tyłu stoi siostra Maria, fot. Kanadyjsko-Polskie Towarzystwo Historyczne, Edmonton, Kanada.

W lecie 1940 r., jako pierwsza przybyła do Kanady grupa 18 polskich kobiet i dzieci złożona z rodzin najwyższych oficerów polskich sił zbrojnych oraz kilku dyplomatów. W krótkich odstępach czasu podążyły za nią dalsze grupy uchodźców polskich, zawsze związane z generalicją i polskimi elitami. Wszyscy oni otrzymali pozwolenia na tymczasowy pobyt w Kanadzie, aż do zakończenia wojny, po czym rząd kanadyjski oczekiwał ich powrotu do Polski. (...) W pierwszych dniach po przybyciu do Montrealu grupa nowo przybyłych Polek z dziećmi dowiedziała się, że zgodnie z zasadą „*pomóż sam sobie, a Bóg ci pomoże*” w Kanadzie nie czeka na nie żadna zorganizowana pomoc, i że po krótkim pobycie u zakonnic na przedmieściu Montrealu, muszą sobie same znaleźć mieszkanie i pracę zapewniającą im

przeżycie pierwszej kanadyjskiej zimy. Na szczęście bogate żony montrealskich notabli prawie natychmiast zainteresowały się *egzotycznymi uchodźcami z Europy, których mężowie tak dzielnie walczą u boku W. Brytanii* i Kanadyjski Narodowy Komitet do Spraw Uchodźców zawiązany jeszcze w 1938 r., w celu niesienia pomocy Czechom, Słowakom, a przede wszystkim Żydom uciekającym przed Hitlerem, zajął się z kolei Polkami. Komitet był charytatywną organizacją pozarządową założoną i finansowaną przez bogatych montrealskich przedsiębiorców i handlowców i dawał upust energii bogatym Kanadyjkom, którym presja społeczna owego czasu nie pozwalała na żadne zajęcia poza domem oprócz działalności charytatywnej. Właśnie ten Komitet znalazł rozwiązanie problemu dachu nad głową w postaci wielkiego, pięknego niezamieszkałego domu w Westmount, wówczas najbogatszego z miast konurbacji Montreal. (...)

Po zakończeniu wojny, w maju 1945 roku, polscy uchodźcy wojenni w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych z dnia na dzień przekształcili się w pierwszą masową polską emigrację polityczną na kontynencie północno amerykańskim. (...) Imigranci napływający do Kanady dzielili się regionalnie na dwie grupy. Przedstawiciele polskiego świata politycznego, intelektualnego i artystycznego, arystokracja oraz liczni ziemianie, którzy mieli już przyjaciół lub krewnych w Kanadzie wschodniej starali się pozostać w ich pobliżu, a szczególnie w Montrealu lub Toronto. Natomiast zdemobilizowani żołnierze i oficerowie bez prywatnych sponsorów kierowani byli przez władze kanadyjskie do prowincji zachodnich. Stąd wytworzyły się dwie grupy o różnych doświadczeniach imigracyjnych i o różnej dynamice życia. (...) Maria A. Jabłońska, matka znanego kanadyjskiego pianisty, Marka Jabłońskiego (urodzonego w Polsce na początku wojny) tak zaczyna opowieść o początkach życia ich rodziny w Kanadzie:

Wylądowaliśmy w Kanadzie w 1949 roku i zaraz jechaliśmy prosto do Edmonton, gdzie przyjaciel mego męża załatwił nam pracę jako pomoc na farmie. Oboje z mężem mieliśmy wykształcenie uniwersyteckie, ale tutaj to nic nie znaczyło. W tamtych czasach nie było możliwe uzyskanie imigracyjnej wizy kanadyjskiej bez podpisania kontraktu pracy na farmie albo w przypadku kobiet – służącej. Nawet trzy doktoraty nic by w tym zakresie nie zmieniły. Wprost przeciwnie, mogłyby się przyczynić do zrujnowania szansy otrzymania wizy. Dlatego najlepiej było udawać zwykłego robotnika. Kanada nie chciała przyjmować ludzi wykształconych poza

jej granicami, więc lepiej było nie przyznawać się do wyższego wykształcenia. Po kilku latach nagle przepisy zostały zmienione i głośzono potrzebę ludzi wykwalifikowanych w każdym rodzaju profesji i zawodu. Niestety dla nas ta zmiana przyszła za późno. Granice wieku przy przyjmowaniu do pracy w specjalności mego męża były ustalone i on był już za stary. Niemniej byliśmy szczęśliwi, że nie potrzebowaliśmy już pracować dla naszego farmera.

Dla rodzin, które zamierzały pozostać w Quebec'u, gdzie było dużo opuszczonych farm, był też możliwy wariant osadzenia na opuszczonej farmie. Farmy te położone zazwyczaj daleko od miast, na terenach nie najwyższej jakości były przeważnie w ruinie. Bez inwentarza żywego, bez elektryczności i często bez wody bieżącej były tak nieatrakcyjne dla Kanadyjczyków, że rząd umyślił osadzać na nich rodziny emigrantów, którzy byliby obowiązani pracować na nich do pięciu lat zanim gospodarstwo przeszłoby na ich własność z prawem ewentualnej sprzedaży. W ten sposób farma zostawała jako tako zagospodarowana, a rząd federalny zostawał zwolniony z odpowiedzialności za przeżycie pierwszych lat przez imigrancką rodzinę. Taką właśnie farmę w Abercorn otrzymała jako środek do życia rodzina hr. Zamoyskich, którzy chociaż w przedwojennej Polsce mieli ordynację rolną i rozległe dobra, ale przecież nie mieli pojęcia o tym jak się osobiście pracuje na roli. Mimo to na farmie w Abercorn przeżyli kilka lat zanim zdążyli się przenieść do Montrealu, gdzie Jadwiga Zamoyska jako jedna z pionierek polskiego sobotniego szkolnictwa poświęciła wiele lat swego życia. (...) Z podobnych „okazji” nabycia farmy na własność skorzystali niektórzy, bardziej profesjonalnie przygotowani ex-wojskowi z Armii Polskiej na Zachodzie, szczególnie jeśli ich żony były gotowe żyć i pracować na farmie. W Quebec'u na kilku takich farmach rozwinęli oni gospodarstwa specjalistyczne, inne zostały zamienione w przedsiębiorstwa agroturystyczne. (...) Rotmistrz Janusz Wiązowski zmienił swoją farmę w szkołę hippiczną dla młodzieży quebeckiej. Innym przykładem sukcesu połączenia rolnictwa z turystyką była założona przez małżeństwo T. Lintnerów „gospoda na wsi” - *lodge* dla gości z Montrealu. W pięknej okolicy *L'Estrie* pod miasteczkiem *Sutton* można było spędzić na niej *weekend* lub dłuższe wakacje. Jeszcze innym przykładem była farma pułkownika Wacława Makowskiego w okolicy *Covey Hills*, w nie mniej malowniczej, południowo-zachodniej części Quebec'u. Jeszcze innym przykładem jest osiągnięcie Władysława Żebrowskiego,

który znalazł swoje miejsce w Kanadzie nad Pacyfikiem. Zamieszkał on samotnie na górze Whistler położonej w pobliżu Vancouveru. Przejęty wspaniałym widokiem i doskonałymi warunkami dla zimowej turystyki namówił kilku znajomych inwestorów do zagospodarowania części góry Whistler jako ośrodka narciarskiego. Pomysł okazał się niezwykłym sukcesem i Whistler stał się znanym międzynarodowym ośrodkiem turystycznym na zachodnim wybrzeżu Kanady. (...)



1 kwietnia 1969 rok, emigracja do Kanady.

Pierwsze lata powojenne ciężko przeżywane przez polskich uchodźców były także trudne dla polskich artystów, którzy wówczas przybyli do Kanady. Ale wraz z gospodarczą *prosperity* i nową formułą społeczną, poprawiała się i dola artystów imigrantów. (...) W latach sześćdziesiątych polscy malarze podobnie jak wszyscy inni „artyści - etnicy” wyraźnie zmierzali ku lepszemu. Ich *vernisages* były licznie odwiedzane, częściej wystawiali swoje prace w galeriach i byli opisywani w gazetach. To samo dotyczyło innych gałęzi sztuki jak ceramika, produkcja kilimów, gobelinów itp. Od chwili kiedy Kanada znalazła własną formułę społeczną i

kulturalną, każda forma artystycznego wyrażania się Kanadyjczyków zarówno jak i neo-Kanadyjczyków lub imigrantów, którzy jeszcze nie otrzymali obywatelstwa kanadyjskiego, była uznana za twórczy wkład w kulturę kanadyjską. Znalazło to swój wyraz w ilości artystów przyjmowanych do Kanady jako emigrantów. (...) Od lat powojennych wykształcone Polki były dla niektórych Kanadyjczyków swoistą atrakcją seksualną. Jak wyraził to pewien wyższy urzędnik rządowy *...jeszcze nigdy nie spałem z kobietą, która ma doktorat i jestem bardzo ciekaw takiego przeżycia...*

Fragment książki „Poza gniazdem: wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX wieku”, Polski Instytut Naukowy w Kanadzie 2006.

Polskie dwory i pałace



Dwór polski

Maciej Rydel

Jedną z charakterystycznych cech polskiego krajobrazu, polskiej historii i kultury są dwory polskie.

Od początku państwa polskiego budowano je, najpierw jako obronne gniazda rycerskie, później od połowy XVII wieku jako siedziby właścicieli ziemskich, o charakterze rezydencjonalnym.

Dworami nazywamy parterowe siedziby właścicieli ziemskich, a więc budowle mniejsze od zamków i pałaców, a większe od chłopskich chałup. Dwory przez całe wieki były ośrodkiem gospodarowania na roli, ośrodkiem szlacheckiej kultury i obyczaju, kultywowania tradycji rodowych i walki o polskość.

Charakterystyczne dla Polski jest to, że takich małych siedzib ziemiańskich było stosunkowo dużo, w porównaniu do innych krajów Europy. W Polsce na przykład w XVIII wieku, odsetek szlachty w społeczeństwie był stosunkowo największy (około 10 %), w porównaniu do innych krajów Europy (ok. 3-4 %). Każdy właściciel ziemski (a także tzw. „gołota” czyli szlachta bez ziemi, ale z przywilejami nadanymi przez króla lub sejm) – starał się wyróżnić prestiżową siedzibą, która by te przywileje unaoczniała.

Za czasów rycerskich dworami nazywano całe obejścia, w których znajdował się dom rycerza i szereg innych zabudowań mieszkalnych i gospodarskich. Obejścia te w celach obronnych budowano na wzgórzach i otaczano palisadą lub murem i fosą. Niektóre większe budowle tego rodzaju do dziś zachowane, nazywamy zamkami. Mniejsze – dworami obronnymi. I takich zostało już niewiele – kilkadziesiąt sztuk. Najpiękniejsze oglądać możemy w Oporowie koło Kutna, Dębnie w woj. małopolskim (w obydwóch są obecnie muzea), a najstarszy z nich z przełomu XIV i XV wieku – w Wieruszycach koło Bochni.

Od połowy XVII wieku dwory zaczęły zmieniać charakter z obronnych na rezydencjonalne. Budowle piętrowe, na planie kwadratu z narożnymi wieżyczkami zmieniały się w parterowe, zbudowane na planie prostokąta. Otoczenie dworu z obronnego założenia z fosą i palisadą zmieniło się na założenie ogrodowe, o funkcjach estetycznych i reprezentacyjnych. Z czasów obronności dworów zostały natomiast narożne wieżyczki, zamienione na mieszkalne alkierze. W XVIII i XIX wieku rozbudowywano dwory w ten sposób, że dodawano do korpusu dworu boczne

alkierze. Dwory alkierzowe są bardzo charakterystyczną cechą polskiej architektury dworskiej.

Do ostatniej dekady XVIII wieku artystyczny wyraz architektoniczny wywodził się z baroku, później wśród architektury dworów zapanował neoklasycyzm. Najbardziej dziś popularne dwory, kojarzące się każdemu Polakowi z „typowym polskim dworkiem”, to takie, które mają portyk dwu- lub czterokolumnowy na osi elewacji frontowej. „Typowy polski dworek” leży na wzniesieniu, zawsze otoczony parkiem, jest parterowy, dobrze by miał czterospadowy dach łamany kryty gontem i był zbudowany z modrzewiowych bali „na zrąb”. Koniecznie musi być zorientowany „na godzinę jedenastą” i stać frontem do drogi (nie bokiem). Do dworu powinna prowadzić aleja, a przed dworem niewielki gazon tworzyć ma dziedziniec honorowy (tzw. „*cour d' honneur*”).

Taki wizerunek dworu bliski jest każdemu Polakowi. Takich dworów stosunkowo najwięcej się jeszcze ostało (dziewiętnastowiecznych około 500).



Dworek Wincentego Pola w Lublinie.

Neoklasycystyczne dwory, zwłaszcza murowane, będące częściowo naśladownictwem większych założeń pałacowych, budowano w zasadzie do pierwszej wojny światowej. Ten styl budowania po I wojnie kontynuowano w postaci tzw. „stylu dworkowego” i występował on do 1939 roku.

6 września 1944 r. komuniści wydali tzw. dekret PKWN o reformie rolnej. Na jego mocy wywłaszczono i usunięto siłą wszystkich właścicieli ziemskich, formalnie tych posiadających co najmniej 50 hektarów ziemi, a w rzeczywistości wszystkich. Zostało w całej Polsce w rękach prywatnych ok. 30 tzw. „resztówek” czyli dworów, które nie były ośrodkami gospodarki rolnej (domy letnie, miejskie i podmiejskie).

Ziemię rozdano małorolnym chłopom i robotnikom rolnym. Dwory stały się mieszkaniami przypadkowych ludzi, częściowo przeznaczono je na szkoły, biura spółdzielni produkcyjnych i państwowych gospodarstw rolnych. Część dworów zniszczono jako „relikty obszarnictwa i wrogiego ustroju” lub zostały rozebrane przez miejscową ludność by nie było gdzie założyć kolchozu.



Dworek polski na obrazie Bronisławy Rychter-Janowskiej.



Dworek polski na obrazie Bronisławy Rychter-Janowskiej.

Jaki jest dzisiaj stan zabytkowych rezydencji wiejskich w Polsce ?

Parterowych dworów wybudowanych do 1939 roku, które zachowały przynajmniej zewnętrzny charakter zabytku, jest w Polsce około 3 tysięcy. Z punktu widzenia ich kondycji, ok. 2 tysięcy jest w stanie daleko posuniętej dewastacji, lub pozostały tylko zewnętrzne mury. Należą one najczęściej do Agencji Rolnej Skarbu Państwa, gminy lub miejscowej spółdzielni rolnej. Wiele z nich stoi pustych.

Pozostałe tysiąc dworów to szkoły, wiejskie ośrodki zdrowia lub mieszkania przypadkowych lokatorów. Ich stan można nazwać złym, ale nie beznadziejnym.

Tu i ówdzie uchowały się jeszcze zabytkowe elementy wnętrza: piece, kominki, stolarka.

Okolo 80 dworów w Polsce należy do osób prywatnych, w tym, jak wcześniej zazaczyłem, 30 do byłych właścicieli, sprzed II wojny światowej. Pozostałe 50 to

dwory kupione po 1990 roku i odremontowane na prywatne mieszkania. W około 30 dworach są muzea biograficzne (np. Sienkiewicza w Oblęgorku koło Kielc, Kraszewskiego w Romanowie (lubelskie), Konopnickiej w Żarnowcu (podkarpackie), Wybickiego w Będminie (pomorskie) lub lokalne muzea, w tym pokazujące wnętrza dworskie, np. w Ożarowie k. Wielunia, w Koszutach (wielkopolskie) lub Tubądzinie. Około 30 obiektów dworskich to pensjonaty, hotele i ośrodki konferencyjne, należące do firm lub osób prywatnych.



Dwór w Koszutach.

Trochę inna jest sytuacja obiektów większych – pałaców. Ani jeden nie został w posiadaniu przedwojennych właścicieli po 1945 roku. Wszystkich brutalnie wyrzucono z ich posiadłości.

Po roku 1990 kilka z nich wróciło do prawowitych właścicieli. Pozostałe czekają na ustawę reprivatyzacyjną. Pałace pełnią rolę biur gospodarstw rolnych, szkół, mieszkań prywatnych (zwykle kilka rodzin w jednym pałacu) lub muzeów. Większość z nich jest zdewastowana i pusta.

Funkcjonuje w całym kraju ok. 150 obiektów – pełniących lub mogących pełnić rolę konferencyjno-reprezentacyjne. Drugie tyle można do tych celów przystosować,

ratując przed niechybną zagładą.

Część jest w posiadaniu firm z przeznaczeniem na własne ośrodki szkoleniowe. Narodowy Bank Polski ma Starą Wieś w województwie mazowieckim, pałac po Radziwiłłach; BGŻ ma Leszno pod Warszawą - pałac Bersonów, Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu ma zamek Reyów w Przecławiu (podkarpackie), Petrochemia Płocka ma pałacyk w Srebrnej.

Część obiektów jest w posiadaniu instytucji budżetowych. A więc muzea: Malbork, Nieborów, Łańcut. Kozłówka, Gołuchów, Rogalin itp. Kilka pałaców mają uczelnie wyższe: Uniwersytet Jagielloński ma dwór w Modlnicy, Politechnika Krakowska pałacyk w Janowicach na południe od Tarnowa, Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie ma dwór w Dłużewie w siedleckim, SGGW ma dwór w Kociszewie (radomskie). Związek Literatów Polskich posiada dwór w Oborach pod Warszawą, Urząd Rady Ministrów ma pałace w Jadwisinie i Małej Wsi, Ministerstwo Kultury pałac w Radziejowicach. Do instytucji administracji centralnej należy jeszcze kilka rezydencji. Polska Akademia Nauk posiada kilka obiektów, np. pałace w Jabłonnej koło Warszawy, Będlewie (wielkopolskie) i dwór w Mogilanach (małopolskie).

Przepiękny klasycystyczny pałac w Lubostroni należy do wojewody kujawsko-pomorskiego i jest na dobrej drodze by stać się rezydencją na światowym poziomie, po ostatnio przeprowadzonym remoncie.

W ostatnich latach uratowano szereg obiektów, które wydzierżawiły firmy i osoby prywatne prowadząc tam komercyjną działalność hotelowo - wypoczynkowo - konferencyjną. Do nich zaliczyć można dwa pałace koło Koszalina: Krąg i Strzekęcinio, pałac w Rzucewie koło Pucka), dwór w Woli Zręczyckiej (mało-polskie) czy pałac w Kraskowie (dolnośląskie).



Dworej w malwach, olej na płótnie, Jacek Łącki.

Wymienione wyżej rezydencje oferują usługi na stosunkowo wysokim poziomie, ale niestety należą do mniejszości. Zdecydowana większość spośród wspomnianych 150 pałaców i zamków, przeznaczonych na cele hotelowo-konferencyjne, mimo ładnego obiektu i pięknego położenia świadczy jeszcze niski poziom usług i zdecydowanie wymaga doinwestowania.

W Polsce niszczeją piękne obiekty zabytkowe, w takich miejscach za jakie w Europie zachodniej inwestorzy zapłaciliby masę pieniędzy. Wystarczy stwierdzić, że na Mazurach nie ma praktycznie ani jednego czynnego na wysokim poziomie obiektu zabytkowego, który latem mógłby pełnić funkcje ośrodka wypoczynkowego, a poza letnim sezonem ośrodka konferencyjnego, jeśli nie liczyć neogotyckiego pałacu w Karnitach i zespołu poklasztornego w Wigrach (suwalskie). A obiektów zabytkowych, które mogłyby być przygotowane dla bardzo wymagających gości jest tam co najmniej kilkanaście. Nad czystymi jeziorami, w pięknej okolicy, z pałacami w 200 letnich parkach. Żeby wymienić tylko pięknie położony pałac w Sztynorcie nad kompleksem jezior Mamry, Dargin, Kisajno, Niegocin lub niszczące pałace w Drogoszach, Sorkwitach i Gładyszach.

Obiekty konferencyjne, które odwiedziłem, mające bardzo wysoki standard i dobrze przygotowane do obsługi wymagających gości, nowoczesnie prowadzone i dobrze

reklamowane - nie mają trudności z wypełnieniem miejsc przez cały rok. Niewątpliwie wymagania klientów będą rosły, a zabytkowe pałace, zamki i dwory zasługują na to, by zapewnić im godziwą egzystencję i trwanie w nowych warunkach.

Zainwestowanie w pałace i dwory w celu przeistoczenia ich w ośrodki konferencyjno - wypoczynkowe jest niewątpliwie jednym z głównych sposobów na uratowanie tych obiektów, które straciły rację bytu jako ośrodki gospodarki rolnej i siedziby rodowe. Nawet po powrocie w ręce prawowitych właścicieli, zdecydowanej większości nie będzie stać na to by je wyremontować i w nich zamieszkać.

Jest jednak jedna zasadnicza kwestia. Wszystkie te obiekty - dwory i pałace, najpierw muszą mieć „czyste konto” od strony własnościowej, co w większości oznacza oddanie ich potomkom prawowitych przedwojennych właścicieli. Na razie mają oni prawo pierwokupu tych obiektów wraz z otaczającym je parkiem. Zasadniczym krokiem w kierunku jasnej sytuacji własnościowej będzie ustawa reprivatyzacyjna.

Zbyt daleko, żeby się przejmować? - Wywiad z Nicholasem Kristofem.

Wywiad na prawach wyłączności z Nicholasem Kristofem, dziennikarzem z New York Timesa, dwukrotnym laureatem Nagrody Pulitzera, wyróżnionym w 2016 r. nagrodą „Spirit of Jan Karski Award”.

Bożena U. Zaremba



Nicolas Kristof podczas pracy reporterskiej.

Bożena U. Zaremba: Znane powiedzenie, że śmierć jednostki jest tragedią, ale śmierć miliona to tylko statystyka, jest dzisiaj szczególnie aktualne. W jednym ze swoich ostatnich artykułów porównał Pan syryjską dziewczynkę do Anny Frank, tak jakby chciał Pan nadać kryzysowi w Syrii „twarz”. Uważa Pan, że „twarz” jest niezbędna, żeby ludzie zareagowali?

Nicholas Kristof: Myślę, że tak. W moich artykułach, szczególnie z Darfuru, byłem tak sfrustrowany brakiem reakcji, że zacząłem zgłębiać prace psychologów społecznych, szczególnie profesora Paula Slovic. Badał on przyczyny ludzkiej empatii i jeden z jego wniosków był taki, że czujemy współczucie nie do grup ludzi, ale do jednostek i reagujemy bardziej na historię jednostki. Doprowadziło mnie to do stworzenia „klucza” do empatii w stosunku do światowych problemów. I tego klucza staram się używać w moich artykułach i książkach.

BUZ: Myśli Pan, że wojna w Syrii i kryzys uchodźczy są teraz najbardziej palącą kwestią?

NK: Jest wiele naglących spraw i nie lubię, kiedy wymaga się ode mnie ich

wartościowania, jednak na pewno jest to jeden z głównych problemów. Na całym świecie jest ponad 60 milionów uchodźców i migrantów; wojna w Syrii pochłonęła do tej pory około 470 tysięcy ofiar i liczba ta wciąż rośnie. Niestety, jest wiele innych globalnych problemów, które nas zajmują i które szczególnie leżą mi na sercu – ocieplenie klimatu, rozwijający się konflikt w Sudanie Południowym, prawa kobiet czy wyzysk w celach seksualnych.

BUZ: Czyż nie jest to przytłaczające? W innym artykule stwierdził Pan, że bardziej przejmujemy się śmiercią psa niż człowieka. Czy całkowicie utraciliśmy już zdolność współczucia? Wydaje się, że znajdujemy się w kryzysie, także, jeżeli chodzi i o tę kwestię.

NK: Ludzie rzeczywiście czują się przytłoczeni skalą globalnych problemów, z którymi musimy się dzisiaj zmierzyć, jednak myślę, że ma to związek z tendencją do zdystansowania się do cierpienia na dużą skalę. Każda pojedyncza reakcja na tragedię jest tylko kroplą w morzu potrzeb, jednak twierdzę, że każda pojedyncza kropla ma znaczenie. Być może nie jesteśmy w stanie pomóc 60 milionom przesiedlonych ludzi, ale z łatwością możemy pomóc jednej rodzinie, która straciła swój dom i walczy o przetrwanie. Z punktu widzenia tej rodziny jej przypadek jest do rozwiązania. Najlepszym przykładem jest historia mojej własnej rodziny.

BUZ: Pański ojciec był uchodźcą, prawda?

NK: Zgadza się. Został przyjęty do USA, [jako uchodźca] w 1951 r., co całkowicie odmieniło jego los. A także mój własny. Prawdziwe nazwisko mojego ojca brzmiało Krzysztofowicz. Razem ze swoją rodziną, mój ojciec działał [podczas II wojny światowej] w polskim podziemiu, na szlaku kurierskim. Mojego krewnego Niemcy złapali na gorącym uczynku z mikrofilmami, w naszym majątku przy granicy polsko-rumuńskiej. Inni członkowie mojej rodziny byli pojmani po polskiej stronie i zostali przewiezieni do Auschwitz, gdzie zostali zamordowani. Natomiast mój ojciec wraz kilkoma osobami został schwyty w Rumunii, gdzie Niemcy mieli silne wpływy, ale nie mieli pełnej kontroli. Moja rodzina zapłaciła dużą łapówkę, aby go wypuszczono, ale jeden kuzyn pozostał w więzieniu do czasu, aż Rumunia przeszła na drugą stronę. Kiedy świętował koniec wojny [podczas mszy] w kościele, Sowieci aresztowali go, bo podejrzewali, że jest szpiegiem polskiego wolnego rządu. Był za bardzo prozachodni.

Zesłano go na Syberię, gdzie zmarł w gułagu. Zobaczyłem, więc, jakie koszty poniosła moja własna rodzina w związku z działaniami wojennymi.

BUZ: Czy te doświadczenia miały wpływ na Pańskie poglądy?

NK: Niewątpliwie. Historia mojego ojca na pewno pomogła ukształtować mój pogląd w sprawie uchodźców i uwrażliwiła mnie na ich tragiczne losy. To jeden z powodów, dlaczego tak żarliwie zajmuję się tą kwestią.

BUZ: Jakie według Pana są obowiązki dziennikarza? Zdać raport czy może coś więcej? Podnosić świadomość społeczną, wpływać na opinię czy pobudzać do działania?

NK: Myślę, że wielu z nas zostało dziennikarzami w nadziei, że nasz głos będzie się liczyć. Wydaje mi się, że kiedy tylko informujemy o życiu celebrytów czy o bieżących wydarzeniach politycznych tracimy ważną część tego, czym powinno być dziennikarstwo. Dziennikarstwo może świetnie wpisać zapomniane kwestie do codziennej agendy; kiedy jakaś kwestia nie przykuwa wystarczającej uwagi, możemy ją naświetlić. Można by więc powiedzieć, że zajmujemy się „biznesem oświeceniowym”.

BUZ: Czy czuje się Pan w obowiązku w ten właśnie sposób podchodzić do swojego dziennikarstwa?

NK: Tak, chociaż poświęcenie uwagi danej kwestii nie gwarantuje, że pociągnie to za sobą jakieś działanie, czego doświadczył Jan Karski. Ale na pewno jest to niezbędny krok.

BUZ: Informacja o traktowaniu Żydów w czasie II wojny światowej pojawiła się na ostatniej stronie New York Timesa i niektórzy ludzie twierdzą, że jeśli Facebook istniałby w czasie wojny, to Holokaust nigdy nie miałby miejsca. Podpisuje się Pan pod tym stwierdzeniem?

NK: Byłbym ostrożny w formułowaniu takich stwierdzeń – pół miliona Syryjczyków zostało zabitych i mimo, że mamy Facebooka, świat praktycznie pominął to milczeniem. Zgadza się z tym, że media społecznościowe, zdjęcia i nagrania przybliżają nam cierpienia z odległych krajów, przez co trochę trudniej je

zignorować, jednak, jako ludzie mamy niezwykłą zdolność do odwracania wzroku w sytuacji, gdy naprawdę nie wiemy, co zrobić, kiedy pojawiają się ofiary. Mówimy wtedy, że „to są Żydzi” albo „to są Syryjczycy” – „oni są od nas odmienni”. Więc być może media społecznościowe pomogłyby w czasie II wojny światowej, ale nie podejrzewam, żeby końcowy efekt był znacząco inny.

BUZ: Podobno zainspirował Pan Melindę i Billa Gatesa do skoncentrowania się w ich pracy charytatywnej na światowych problemach zdrowia publicznego. Co uważa Pan jak dotąd za największe osiągnięcie swojego dziennikarstwa w zachęcaniu ludzi do działania?

NK: Jest kilka takich spraw, na które pomogłem (wraz z innymi) zwrócić więcej uwagi i coś zmienić. Jedną z nich jest Darfur, inną handel kobietami na całym świecie, a także prawdopodobnie zdrowie reprodukcyjne, a szczególnie problem przetoki pochwowej. W każdym z tych przykładów ofiary przyciągają coraz więcej zainteresowania i środków.

BUZ: Napisał Pan wiele książek, między innymi „China Wakes” „Half the Sky” i „A Path Appears” razem ze swoją żoną Sheryl WuDunn. Wyobrażam sobie, że współpraca ze współmałżonkiem może być wyzwaniem.

NK: Ludzie często pytają, jak nam się udaje razem pisać książki i dalej być małżeństwem [*śmiech*]. Prawda jest taka, że jeżeli ma się troje dzieci i jest się w stanie razem je wychowywać, wtedy napisanie razem książki to bułka z masłem [*śmiech*]. Sheryl jest naprawdę wspaniałą pisarką i świetnie redaguje teksty.

BUZ: W jakich okolicznościach po raz pierwszy usłyszał Pan o Karskim?

NK: Miałem bardzo mgliste pojęcie o Karskim, ale książka Samantha Power „A Problem from Hell”, w której jest mowa o Karskim, uświadomiła mi, czego dokonał. Zaangażowanie w polskie podziemie rodziny mojego ojca w pewien sposób też mnie do niego zbliżyło.

BUZ: Dlaczego jest on tak ważną postacią?

NK: Z powodu spraw, którymi zajmował się przez całe życie i z którymi my również cały czas musimy się mierzyć:, w jaki sposób my, jako społeczeństwo reagujemy na

prześladowania i cierpienie w odległych krańcach świata. Są takie niezwykle postaci w polskim ruchu oporu, jak Jan Karski i Witold Pilecki, których dokonania są po prostu zadziwiające. Oni poświęcili tak dużo i starali się wykrzyczeć całemu światu „Zwróć uwagę!” Ale świat pozostał niewzruszony. Dzisiaj mamy innych „Karskich”, którzy próbują robić to samo, wyeksponować pewne problemy, co sprawia, że Jan Karski jest ciągle aktualny.

BUZ: W co Karski byłby dzisiaj zaangażowany gdyby żył? O co by się troszczył?

NK: Myślę, że kryzys uchodźczy zajmowałby wysoką pozycję na liście spraw, którymi by się zajmował. Od czasów II wojny światowej nie widzieliśmy tak wielu ludzi w stanie desperacji, opuszczających swoje domy, ryzykujących swoje życie w nadziei na poprawę losu. I znowu nikt nie działa dostatecznie zdecydowanie, aby odpowiedzieć na ich potrzeby. Chodzi mi nie tylko o ich przyjęcie, ale również o poradzenie sobie z przyczynami, przez które ci ludzie tracą swoje domy, co koniec końców jest odpowiednią drogą do rozwiązania ich problemów.

BUZ: Myśli Pan, że popularyzacja spuścizny Karskiego może pomóc rozwiązać dzisiejsze problemy i konflikty?

NK: Tak, myślę, że historia Karskiego jest tak uniwersalna, że także dzisiaj ukazuje nam właściwe wzorce postępowania. Karski jest niezwykle przykładem odwagi i determinacji, więc może służyć, jako inspiracja nie tylko do empatii, ale także do podjęcia akcji w imieniu tych, którzy tego potrzebują.

Uroczystość wręczenia „The Spirit of Jan Karski Award” odbyła się we wtorek, 1 listopada o 18:30 w The New School w Nowym Jorku.

<http://www.jankarski.net>

Pułkownik Józef Beck



Minister spraw zagranicznych Józef Beck w Londynie, 4 kwietnia 1939 r. ,
fot. AP Photo.

Zdzisław Najder

Osiemdziesiąt lat temu, w czasie mojego szczeniństwa, nazywaliśmy naszą Ojczyznę „Polską Niepodległą” albo „Odrodzoną”. Używaliśmy wymiennie obu nazw. W Europie środkowej był to okres świadomego (albo czasem bezwiednego) szamotania się w poszukiwaniu państwowego bezpieczeństwa. Chodziło o znalezienie możliwie zacisznej pozycji między dwoma potęgami. Jedną był Związek Radziecki, w sierpniu 1920 roku przepędzony z Polski przez wojska dowodzone przez Józefa Piłsudskiego. Stalin zmieniał ZSRR w maszynę do unicestwiania tych, których uznał za wrogów. Drugą potęgą były Niemcy, pokonane w I wojnie światowej. Od roku 1933 nazywały się oficjalnie Trzecią Rzeszą i pod wodzą Adolfa Hitlera szybko rozbudowywały swoją potęgę militarną.

Piłsudski zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Poufnie zaproponował Francji wojnę

prewencyjną, by stłumić zagrożenie w zarodku. Francuzi propozycji nie przyjęli.

Urząd polskiego ministra spraw zagranicznych sprawował od 1932 roku pułkownik Józef Beck. Z zawodu był nie dyplomata, ale oficerem i to frontowym, a nie sztabowym, artylerzystą. Podczas I wojny światowej służył w Pierwszej Brygadzie Legionów Piłsudskiego. W lipcu (4-6) 1916 brał udział w ciężkiej bitwie pod Kostiuchnówką na Wołyniu, najkrwawszej, którą Legiony musiały stoczyć. Otrzymał wówczas swój pierwszy Krzyż Walecznych. Później służył jako wysokiej rangi, a co najważniejsze - skuteczny, organizator i dowódca tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. POW działała na ziemiach zaboru rosyjskiego. Walczyła najpierw z Rosją carską, potem z bolszewikami. Młody Beck odznaczył się odwagą: jeszcze trzykrotnie przyznano mu Krzyż Walecznych, a później także Virtuti Militari. Działalność konspiracyjna musiała być dla niego nie łatwa, bo wyróżniały go i wzrost i nos. Pod obu względami przypominał Charlesa de Gaulle'a.

Beck pochodził z niezamożnej rodziny unickiej. Ojciec był lokalnym urzędnikiem. Urodził się w Warszawie 4 października 1894 r.; w księdze parafialnej (prawosławnej, bo Rosja carska Unii nie uznawała) jego nazwisko zapisano jako „Bek”. Po roku 1939 Hitler kazał wyszukać jego żydowskich przodków. Mimo usiłowań, nie udało się ich znaleźć; rodzina wywodziła się prawdopodobnie z Flandrii.

Cenił piękne kobiety; takie były jego dwie kolejne żony. Był także koniarzem, chociaż nie ułanem, jak Wieniawa, tylko artylerzystą. Za kołnierz nie wylewał, co było nieroztropne dla borykającego się z nawrotami gruźlicy. Umarł na nią dość młodo; przyczynił się do tego gen. Władysław Sikorski, mściwy jak zawsze, odmawiając w 1939 pomocy w wyciągnięciu za granicę internowanego w Rumunii ministra.



Ambasador włoski Alberto Martin Franklin na audiencji u marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Widoczni m.in.: szef Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych Józef Beck (pierwszy z lewej), Józef Piłsudski, ambasador włoski Albert Martin Franklin (pierwszy z prawej), fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Najważniejszą sprawą w życiu i karierze publicznej Józefa Becka była przyjaźń z Józefem Piłsudskim. Znali się dobrze od roku 1913. Beck był wielbicielem marszałka,

który cenił pułkownika jako fachowca i miał do niego szczególne zaufanie. W październiku 1920, krótko po zakończeniu wojny z bolszewikami, powierzył mu poufną misję do admirała Mikłosa Horthy'ego, wrogiego komunistom regenta Węgier. Becka właśnie wysłał Piłsudski w styczniu 1921, wkrótce po zajęciu Wilna, do „zbuntowanego” gen. Lucjana Żeligowskiego. W marcu 1925 Beck poprosił marszałka, by zgodził się zostać ojcem chrzestnym Andrzeja, jedyne syna. Wkrótce potem, świadom rugowania zwolenników Piłsudskiego z wyższych stanowisk w Wojsku Polskim, Beck sam podał się do dymisji i objął posadę urzędnika bankowego. Paradoksalne zajęcie, bo pułkownik zawsze żył z oficerskiej gaży, a do pieniędzy, nie przywiązywał większej wagi – jak zresztą całe otoczenie Marszałka (który sam utrzymywał rodzinę z honorariów autorskich, a rentę przekazywał na wileński sierociniec wojskowy).

Podczas przewrotu majowego w r. 1926 stanął po stronie Piłsudskiego. W latach trzydziestych spotykali się bardzo często. W końcowym okresie życia marszałek szczególnie się do Becka zbliżył i wypowiadał się o nim do najbliższych współpracowników zarówno serdecznie, jak pochwalnie:

W mojej pracy nad polityką zagraniczną Polski znalazłem szczególnie zdolnego i inteligentnego współpracownika... Ja nie mogę zrobić Panu dość komplementów, panie Beck.

Rozmawiali głównie o polityce zagranicznej, pasji Piłsudskiego. O ile wiemy, nie było między nimi różnic w ocenie sytuacji międzynarodowej Polski, która z roku na rok stawała się groźniejsza. Złowrogim sygnałem było nie ogłoszenie w Niemczech ustalonego 26 stycznia 1934 roku tekstu niemiecko-polskiej deklaracji o wzajemnej nieagresji. Marszałek był skądinąd zdania, że okres względnej równowagi międzynarodowej nie potrwa dłużej, niż cztery lata. Rozumiał, i Beck dzielił jego pogląd, że położenie Polski staje się tragiczne.

W rządach II RP Józef Beck sprawował różne funkcje; bywał szefem gabinetu premiera, wiceministrem i ministrem spraw zagranicznych. Był wszechstronny i pracowity. Mówił płynnie po rosyjsku, niemiecku i francusku. Urzędnicy republiki francuskiej wystawiali mu wtedy i później ocenę krytyczną. Złośliwie: kiedy 7 marca 1936 wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, łamiąc postanowienia traktatowe,

Beck zawiadomił Paryż, że Polska jest gotowa poprzeć zbrojnie sprzeciw francuski. Daremnie. W roku 1939 okazało się, że ówcześni Francuzi nie chcieli umierać nie tylko za Gdańsk, ale nawet za Paryż. W Wielkiej Brytanii natomiast Beck znał osobiście dwu czołowych przywódców konserwatywnych: lorda Halifaxa, który długo miał nadzieję dogadać się z Hitlerem - i Winstona Churchilla, pierwszego Lorda Admiralicji i późniejszego nieugiętego premiera. Ogromną rolę w stosunkach polsko-brytyjskich odgrywał wówczas ambasador RP w Londynie hrabia Edward Raczyński, wybitny dyplomata i jeden z najznakomitszych polityków polskich XX wieku. Miałem zaszczyt go poznać w roku 1957. Zrobił na mnie wielkie wrażenie swoimi horyzontami politycznymi, znajomością spraw krajowych i wszechstronnością umyslową. Zaprzyjaźniliśmy się, mimo różnicy wieku, i przyjaźń ta sprawdzała się do końca. Ostatni raz rozmawiałem z Panem Edwardem, składając mu życzenia świąteczne na Boże Narodzenie w 1984 roku; miał wtedy 101 lat.

Beck i Raczyński znali się i wzajemnie mieli do siebie zaufanie. To umożliwiło im podpisanie 25 sierpnia 1939 roku (w ostatniej chwili przed wybuchem II wojny światowej) układu o pomocy wzajemnej między Polską a Wielką Brytanią. Rzeczpospolita zyskiwała sprzymierzeńca potężnego, bo rozporządzającego największą wówczas marynarką wojenną świata. W dodatku sprzymierzeńca, wygodnie oddzielonego Kanałem od kontynentu europejskiego. Układ wywołał wściekłość obu naszych totalitarnych sąsiadów i spowodował, że Józef Beck stał się rekordzistą Europy w ściąganiu na siebie oskarżeń i kalumnii. Krytykowali go także polscy wrogowie polityczni - nie potrafiący zresztą oferować własnego wyjścia z sytuacji.



Józef Beck, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Hitler liczył, że bez trudu upora się z Polską, o wiele słabszą militarnie. Była mało zindustrializowana. Spajanie w jeden sprawny system szkolnictwa i administracji kraju, zeszytego z trzech bardzo nierówno rozwijających się przez cały wiek XIX części, wymagało wielkiego wysiłku ludzkiego - i pieniędzy. Z ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego lat 1926/7 Polska wydzwigała się bardzo późno. Finansowany całkowicie przez państwo imponujący i szybki rozwój Centralnego Okręgu Przemysłowego (położonego w widłach Wisły i Sanu) zaczął się dopiero wiosną 1937 roku. Wówczas zdążono zainwestować trzy miliardy złotych, jedną czwartą w przemysł zbrojeniowy. Wybudowano m.in. dwie duże - i widowiskowo piękne - elektrownie wodne w Porąbce (na Sole) i Rożnowie (na Dunajcu), projektowane jeszcze przez zamordowanego w 1922 Gabriela Narutowicza.

Aby sobie zadanie ułatwić i jak najbardziej pognać wroga - *Führer* zawarł układ z

naczelnym wrogiem ideowym, Sowietami. „Pakt Ribbentrop – Mołotow” przewidywał podział Europy Środkowej na osobne strefy wpływów, a w tajnym załączniku również rozbiór Polski wzdłuż biegu Narwi i Bugu.

W swoim słynnym przemówieniu w Sejmie RP 23 sierpnia 1939, w którym odrzucił niemieckie ultimatum, Józef Beck umieścił konflikt niemiecko-polski na płaszczyźnie europejskiej. Nie wspomniał ani słowem o ZSRR. Pułkownik znał dobrze Sowiety i wiedział, że dla ich przywódców podpisane porozumienia międzypaństwowe są warte mniej, niż atrament, zużyty na ich własne podpisy. Stawiając Polsce warunki Hitler postulował zburzenie całego ówczesnego porządku międzynarodowego. I na to polski minister powiedział: nie pozwalam!

Zdawał sobie w pełni sprawę z grozy sytuacji. Pojęcie honoru należy do tej samej tradycji myślowej, co pojęcie tragedii. I honor właśnie nadaje sens ludzkim czynom w położeniu beznadziejnym.

Przemówienie Becka było rzecz jasna skierowane przede wszystkim do Sejmu RP i do Polaków. Ale również do Europy Zachodniej. Dla Niemców nie zawierało nic nowego; dla Sowietów – też nie. Decyzje w Berlinie i Moskwie zapadły zresztą już wcześniej. Minister spraw zagranicznych RP wiedział o tym – i obwieścił Europie polską niezgodę na zburzenie całego porządku międzynarodowego. Polskie veto miało niewielkie znaczenie militarne, bo przewaga sąsiadów była miażdżąca. Ale stawiało nas w jednym szeregu z państwami demokracji parlamentarnej.

I do tej nie nazwanej wspólnoty wartości politycznych odwoływaliśmy się uparcie również po II wojnie światowej.

*

Musieliśmy przeżyć pół wieku i wylać morze krwi, aby przy Okrągłym Stole skosztować owoce tego przemówienia. Aleja Józefa Becka, na obrzeżach Warszawy, jest tylko skromnym upamiętnieniem osoby jednego z najbardziej zasłużonych polityków polskich XX wieku. Jestem przekonany, że Marszałek, zerkając w prawo na własny Plac w Warszawie, widziałby z radością na rogu Wierzbowej (gdzie w czasach II RP mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych) postać swojego ulubionego i najzdolniejszego ucznia.

Profesor z innej epoki

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Starnawski ur. 22 lutego 1922 r., zm. 9 listopada 2012 r.

Wspomnienie w czwartą rocznicę śmierci



Profesor Jerzy Starnawski

Profesor to mój mistrz i nauczyciel. Miał wielki wpływ na to, kim teraz jestem i czym się zajmuję. Był naukowcem o fenomenalnej pamięci, perfekcyjnie opanowanym warsztacie literaturoznawczym i wielkiej miłości do literatury polskiej. Przekazał mi zobowiązanie wobec polskiej kultury.

Można o nim opowiadać anegdoty, bo w realnym życiu był czasami nieobecny, ale jego wkład w badania nad polską literaturą jest ogromny, a ilość napisanych prac niebywała.

Pamiętam mój pierwszy wykład na polonistyce na Uniwersytecie Łódzkim. Prowadził go prof. Jerzy Starnawski - opiekun naszego roku. Podczas wykładu narzekał, że młodzież teraz nie zna greki i łaciny. Zobowiązywał nas, żeby braki licealne nadrabiać, bo jacy z nas będą humaniści, skoro nie znamy języków klasycznych.

Wykładał historię literatury staropolskiej. Naszym podstawowym podręcznikiem miał być tzw. „Chrzan”, czyli podręcznik Ignacego Chrzanowskiego „Historia literatury niepodległej Polski (965-1795)”. Podręcznik ten mieliśmy uzupełnić nowszymi opracowaniami (Jerzego Ziomka - „Renesans”, Czesława Hernasa - „Barok”). Mówił, że wprawdzie podręcznik Chrzanowskiego ma wady, ale został napisany, gdy Polska była pod zaborami, więc niesie ze sobą wielki ładunek emocjonalny i patriotyczny. Wiedzę można zawsze uzupełnić, a miłość do literatury to bagaż na całe życie.

Na egzamin z literatury staropolskiej na pierwszym roku czekałam przed salą egzaminacyjną przez trzy dni. Od rana do wieczora. Profesor był tak dokładny i tak długo każdego przepytawał, że kolejka niewiele się posuwała. A ja byłam dopiero na „s”. Co jakiś czas ktoś wychodził i opowiadał jak wyglądał egzamin. Profesor strofował za sformułowania - na bazie czegoś, w oparciu o coś. - To jest język ekonomii, a nie literatury - mówił zde gustowany. - I źle się kojarzy z „bazą i nadbudową” z filozofii marksistowsko-leninowskiej.

Moje odpowiedzi na egzaminie mu się podobały. Czułam, że sprawdzał nie tylko wiedzę, ale i zrozumienie wagi, jaką jest dbanie o polską tradycję literacką. Mimo, że dobrze odpowiadałam, dostałam czwórkę z egzaminu. Na piątkę umie profesor, student najwyżej na czwórkę - to była zasada „Starnaviusa”, jak na niego mówiliśmy.

Na wykład nie wolno było przyjść z kurtką w rękę, czy w płaszczu, nie wolno się było też spóźnić. Profesor rygorystycznie przestrzegał, szacunku dla wykładowcy. Studenci też się starali szanować jego wymagania.

To były czasy, że czuło się duży respekt przed profesorem i nie kwestionowało się jego decyzji, czy zwyczajów.

Profesor Starnawski twierdził, że niezwykle użytecznym przedmiotem w badaniach naukowych jest – pudełko do butów. Do rozmiaru pudełka docina się fiszki i alfabetycznie układa bibliografię. Jeśli trafi się na informację, która musi znaleźć się w naszej pracy, łatwo ją dodać, bez konieczności przepisywania całej bibliografii. W czasach komputerów pewnie trudno sobie wyobrazić, że wiele rzeczy robiło się na „piechotę”.

Gdy przyszedł czas pisania pracy magisterskiej uparłam się na swój temat „Dzieje teatru zamkowego w Łańcucie”. Związane to było z długą historią. Napisałam list do pani kustosz Powozowni Zamkowej w Łańcucie, Teresy Żurawskiej, z prośbą o bibliografię, kiedy miałam dziesięć lat. Od tej pory zaczęła się korespondencja z nieocenioną panią Teresą, a moja wiedza na temat rodziny Potockich i dziejów zamku wciąż się powiększała. Pracy magisterskiej na taki temat nikt nie napisał, byłaby to praca pionierska. Pani Teresa mnie zachęcała, – Joasiu przyjeżdżaj, pokój gościnny w zamku na ciebie czeka.

Niestety, nie mogłam znaleźć promotora. Profesorowie, do których się zgłaszałam mówili, że nie są specjalistami, bo to temat z historii teatru, a nie literatury, czy że powinnam się specjalizować w jednej epoce, a nie pisać pracę przekrojową. Po którejś odmowie siedziałam zmartwiona na korytarzu i widzę biegnącego przez korytarz profesora Starnawskiego, z ręcznikiem i mydełkiem w ręku. – A ty dziecko, masz już promotora? – dźwięcznie zapytał. – Opowiedziałam więc mu o mojej przygodzie z Łańcutem i podzieliłam się rozterkami. Zaprosił mnie do gabinetu. – To teraz już masz promotora – oznajmił. Profesor uważał, że jeśli student ma jasno określone zainteresowania, nie należy ich ograniczać, a wręcz przeciwnie, rozwijać.

Nie myślałam wtedy, że to będzie początek przygody naukowej, i że związę się z Katedrą Literatury Staropolskiej na długi czas. Przed obroną pracy magisterskiej powiedział, żebym się nie denerwowała, bo to ja jestem największą specjalistką w tym temacie. Następnego dnia po obronie, profesor zaprosił mnie do swojego gabinetu o wczesnorannej porze, wyjął stertę prac magisterskich i doktorskich, posadził mnie przy biurku w swoim gabinecie i polecił, żebym się zastanowiła nad tematem doktoratu. Byłam zaskoczona, o doktoracie nie myślałam. zaproponował mi też asystenturę w jego Katedrze, jak się znajdzie etat. Znalazł się po roku i zaczęłam pracować w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

Profesor miał zwyczaj zapisywania różnych instrukcji na skrawkach papieru, odwrocie biletów tramwajowych, tylnej stronie maszynopisu, gdzie czcionka przebijała na drugą stronę. Uważał, że szkoda lasów, że papier trzeba oszczędzać. Teraz łapię się na tym, że też tak robię, wykorzystuję każdą wolną część papieru, na robienie notatek.

Nie marnował też czasu, zawsze coś czytał, albo notował. Nawet w kolejce do życzeń ślubnych czytał poezję Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

Kiedyś przyszedłam do niego z listem Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego – literata i ministra wojny z okresu Powstania Listopadowego, do mojej prapraprababci Faustyny Sokołowskiej, wdowy po byłym oficerze Pawle Sokołowskim. List ten był w zbiorach rodzinnych. Profesor sprawdził w Nowym Korbucie i w Estreicherze, że taki rękopis nie jest skatalogowany. Potem skonsultował się z grafologiem, czy podpis jest oryginalny. Był oryginalny. Dostałam więc zadanie napisać artykuł na temat tego rękopisu. Miałam sprawdzić daty urodzin i śmierci wszystkich osób wymienionych w liście i napisać charakterystykę tych osób. Jeździłam po parafiach, sprawdzałam. Miałam motywację rodzinną, a jednocześnie uczyłam się warsztatu naukowego w opracowaniu dokumentu epistolograficznego. Wysłałam ten artykuł i kopię listu do potomków Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego w Montrealu. Ucieszyli się, powiedzieli, że nie mają z swoich zbiorach ani oryginału, ani kopii autografu słynnego przodka.

Profesor Starnawski wysyłał mnie na różne konferencje naukowe, nawet jak nie miałam przygotowanego referatu, żebym uczyła się słuchając najlepszych. Tak poznałam słynnych profesorów Aleksandra Gieysztora, Janusza Tazbira czy Tadeusza Ulewicza.

Pamiętam wizytę na naszym uniwersytecie profesora Bernharda Kytzlera z Berlina. Był on bardzo znanym na świecie specjalistą od literatury klasycznej, a do tego poliglotą. Ja dostałam zadanie, aby się nim zajmować, odebrać z lotniska i zapewnić program w ciągu trzech dni. Pokazałam mu Łódź. Profesor Kytzler był bardzo dociekliwy prosił, żebym mu tłumaczyła nazwy ulic, np. co to był Manifest PKWN, czy co oznacza data 22 lipca. Jak się chciałam poddać, ze względu na braki w słownictwie niemieckim, profesor nie odpuszczał, pytał się w inny sposób,

korzystając z dużej gamy skojarzeń. Miał niezwykłą umiejętność dociekania do sedna.

Aby zapewnić atrakcje profesorowi Kytzlerowi, wymyśliłam wycieczkę do Nieborowa. Pojechaliliśmy samochodem z moim tatą. Tata, konstruktor maszyn włókienniczych, uczył się języka chińskiego. Jeździł wtedy do Chin, aby w Azji wprowadzać w życie swoje wynalazki. Wiedząc, że gość zna różne języki, w tym chiński, powiedział kilka zdań po chińsku. Profesor odpowiedział płynnym chińskim. Zauważył, że tata mówi po kantońsku.

Po czasie prof, Starnawski powiedział mi, że przydzielił mi zadanie zajmowania się gościem z zagranicy, abym poznała ludzi ze świata, ćwiczyła język i poradziła sobie sama w kontakcie z ciekawym naukowcem.

W pamięci mam wizytę w ośrodku, gdzie prof. Starnawski odbywał rekonwalescencję po przebytych zawale. Profesor mówił wtedy, że czuje się jak rozbita szklanka. Na szczęście żył jeszcze wiele, wiele lat. Miał w sobie niebywałą siłę.

O profesorze Jerzym Starnawskim można by długo opowiadać. Był niezwykle ważną postacią w świecie nauki, ale przede wszystkim był wielkim człowiekiem, którego się nie zapomni.